

B E S T S E L L E R

Rafał A. Ziemkiewicz

# O·G·N·I·E NA SKAŁACH



fabryka słów



Foto © Fabryka Słów

**Rafał Aleksander Ziemkiewicz** – urodzony 13 września 1964 r. – pisarz, publicysta, komentator polityczny i ekonomiczny, dziennikarz. Absolwent filologii polskiej UW. Debiutował jako autor SF w 1982 r. W swoim dorobku pisarskim ma liczne zbiory opowiadań, w tym: *Władca szczurów* (1987), *Skarby stołków* (1990), *Zero złudzeń* (1991), *Czerwone dywany, admierzony krok* (1996), *Cała kupa wielkich braci* (2002), zbiory felietonów: *Viagra mać* (2002), *Frajterzy* (2003) oraz polityczny pamflet *Polactwo* (2004). Autor znakomitych powieści: *Pieprzony los kataryniarza* (1995) i *Wół stulecia* (1998), za które otrzymał dwukrotnie Nagrodę im. Janusza A. Zajdla. Jest także laureatem Nagrody im. Janusza A. Zajdla za opowiadanie *Śpiąca królewna* (1996). W 2005 r. ukazała się jego powieść współczesna *Ciało obce*. Jako dziennikarz i publicysta współpracuje z telewizją, radiem, prasą (w tym tygodnikami „Newsweek Polska” i „Gazeta Polska”). Za swoją publicystykę otrzymał w 2002 r. Nagrodę Kisiela.

O·G·N·I·E  
NA SKAŁACH



fabryka słów  
WWW.FABRYKA.PL



Rafał A. Ziemkiewicz

O · G · N · I · E  
NA SKAŁACH

Ilustracje  
Dominik Broniek

**fabryka słów**

Lublin 2010





# Rozdział 1



**B**ardzoście smutni, panie Żegoście – odezwał się karczmarz, zabierając pusty dzban.

Żegost, wyrwany z zadumy, uniósł powoli wzrok.

– Zamyśliłem się. Ten umarły, dziś na plaży...

Ledwie dosłyszał własne słowa; zagłuszyła je nagła salwa pijackiego śmiechu, który gruchnął po izbie. Obaj z szynkarzem odruchowo zwrócili głowy w stronę paleniska, gdzie przy największym stole, wokół baterii flaszek, dzbanów i na wpół opróżnionych półmisek, biesiadowała czwórka zbrojnych. Żegost obserwował był ich wcześniej przez jakiś czas, nim do reszty pogrążył się w myślach.

Nie byli wojami z jednej drużyny – nosili odmienne barwy, różnorodny był też ich odstawiony pod ścianę oręż. Sprawiali raczej wrażenie przyjaciół wracających z polowania. Udanego polowania; co do tego ich humory nie zostawiały wątpliwości.

– Za to tamtym waszym gościom dzisiaj wesoło, jak widzę – zauważył. – Aż niestosownie wesoło, gospodarzu.

I nieoczekiwanie rozmowa zamiast ku umarłemu pomknęła ku biesiadującym.

– Ano, szanownemu Rejmusowi to zawsze wesoło. Aleć on rycerz, naoglądał się w życiu trupów; jemu rybacka śmierć nie powód, by nie podchmielić. Zresztą szanowni zaczęli już wczoraj, to przed jutrzejszym wieczorem nie przestaną. Kiedyś i nasz książę pan... – Szynkarz, zebrawszy gliniane naczynia, obrócił się w pół zdania i ruszył w stronę kuchni, zaskakująco energicznie jak na swój wygląd. Na pierwszy rzut oka sprawiał bowiem wrażenie schorowanego starca; blady, chudy, o rzadkich włosach lepiących się pasmami do czaszki, której nie były w stanie osłonić. Trzeba było dopiero zajrzeć mu w oczy, by przekonać się, że są jeszcze młode.

Żegost domyślał się, że szanowny Rejmus to prezydujący u szczytu stołu łysawy mężczyzna o rozłożystej rudej brodzie, poznaczonej w tej chwili tłuszczem i resztkami pieczonej ryby. Mężczyzna twarz miał nalaną, a sylwetkę wystarczająco potężną, by od pierwszego spojrzenia rozpoznać w nim wojownika – lecz i na tyle oklapłą, by za jednym razem dało się poznać, że rycerz ten od dawna już nie sprawdzał się w innych zapasach niż osuszanie dzbanów.

Choć przy stole to szanowny Rejmus zasiadał na honorowym miejscu i na nim skupiała się uwaga współbiesiadników, bardziej słychać było osobnika po jego prawej ręce. Niższy od Rejmusa i nie tak szeroki w ba-



rach, był za to jeszcze od niego grubszy; gładko wygolona, rumiana i wesoła twarz o mięsistych policzkach znamionowała skłonność do uciech stołu, a połączany łańcuch na szyi – wysoką godność. To właśnie on zarykiwał się najgłośniej, a kiedy przekrzykiwał towarzyszy, cała izba zdawała się drzeć w posadach. Milkł jednak natychmiast, gdy tylko głos zabierał Rejmus.

Od swego hałaśliwego współtowarzysza Rejmus wydawał się starszy o dobre kilka lat. Pozostali dwaj mogliby wręcz być jego synami – młodzi chłopcy, hołubiący początki zarostu, wyraźnie zaszczyceni możliwością opróżniania kufli w takim towarzystwie i zaświadczający to jazgotliwą skwapliwością, z jaką śmiali się z każdego dowcipu starszych towarzyszy. Owe dowcipy krążyły nieustannie wokół jakiejś złotej rybki, która nie spełnia rybakowi życzeń, tylko jego samego wzięła na posyłki. Rejmus wywodził właśnie, że rybakowi zabrakło tego robaka, na który złote rybki się łapią, choć niby go każdy chłop ze sobą nosi; krzykacz w złotym łańcuchu dorzucił, że owszem, nosi, ale mało używa. Żegostowi budzony tymi żartami rehot wydawał się naznaczony znużeniem, jakby dowcipnisie powtarzali swój repertuar po raz nie wiedzieć który. Domyślał się, że pod tymi figurami kpią sobie z kogoś konkretnego, ale nic go to nie obchodziło; starał się nie słuchać, choć to nie było łatwe.

– Kiedyś to i sam nasz książę tu z szanownym Rejmusem bywał. Nie raz i nie dwa u mnie gościł, wie-rzycie, panie Żegoście? – podjął szynkarz, pojawiwszy się przy stole z kolejnym dzbankiem. – Bo u nas to żadna ujma nawet księciu usiąść w wiejskiej karczmie

z prostymi ludźmi. A szanowny Rejmus, wiecie pewnie, to jeden z jego starych przybocznych. Dawno temu całymi dniami gromadą jeździli po wybrzeżu, od karczmy do karczmy, co popili, to ich przejażdżka trzeźwiła i w następnej wiosce mogli zaczynać od nowa. Ale teraz już nie widać, żeby ksiązę gdzie biesiadował, weselił się. Straszliwie w księżnej pani zakochany, ciężko mu ją bodaj na dzień opuścić... Choć mówią też drudzy, że to zgryzoty. Ale, po prawdzie, skąd by tu księciu zgryzoty, kiedy mu całe panowanie jak z płatka idzie? Czas jeno minął, ot, dawni ksiązęcy towarzysze rozjechali się po kraju, osiedli w warowniach, jeden Rejmus żyje po staremu. A ksiązę... Przysiądę przy was, panie Żegoście, o tej porze gości już niewielu.

– Siadajcie.

– Ano, ksiązę od ludzi stroni, mało kogo przyjmie, mało komu odpowie. Ledwie czasem po gościńcu przepędzi, jakby go demony goniły. Mówią drudzy, że to go tak zmieniła księżna pani, że niesporo mu od niej choć na chwilę. Ale po prawdzie...

Po izbie znowu poniósł się wybuch pijackiego śmiechu. „Nie za pysk, nie za pysk, już ja wiem, za co trzyma!” – ponad rechot przebijał się tubalny głos grubego rycerza.

– Szkoda, szynkarzu. Myślałem, że waszego księcia zobaczę. Sławny jest na południu. Ileż to pieśni ja sam o nim słyszałem...

– Prawda, że pieśni o nich śpiewają?

– Po wielkich dworach, nawet w samym Askiburionie. Na własne uszy słyszałem – ciągnął Żegost, chcąc zrobić karczmarzowi przyjemność. Zdążył już zauwa-

żyć, że mieszkańcy nadmorskiego księstwa czerpali wielką dumę z faktu, że ich książęca para jest tak znana w królestwie. – Bardzo piękne ballady, zanuciłbym wam nawet którą, ale wiersz zbyt kunsztowny, trudny. Jest osobna pieśń o tym, jak młody książę Berghu dowiedział się o losie księżniczki Khielve z północnych wysp, sprzedanej czarnoksiężnikowi Shizzandrowi, i jak się w niej rozmiłował, i inna, jak za zgodą ojca zebrał rycerzy i popłynął z wyprawą ku Skanningen, ku lodowym skałom.

Szynkarz z zadowoleniem pokiwał głową.

– Tak to było, tak to właśnie było, panie Żegoście. Wszyscy tu pamiętają, pytajcie, kogo chcecie. Morski ptak przyniósł księciu jej wizerunek zaklęty w klejnocie i opowiedział historię. Podły mag trzymał naszą panią w wieży bez drzwi, całej z kryształu, ale nic to mu nie pomogło, bo książę ją uwolnił, ucałował i zaprzysiągł miłość aż po grób. A przedtem wraz z siedmioma druhami rozgromili w kryształowej jaskini Shizzandrowe gwardie, choć padli przy tym trupem szanowni Gudryn i Madros. Widzicie, panie Żegoście, szanowny Rejmus, który tu siedzi, to ten właśnie, co odrąbał magowi plugawą prawicę, którą ów rzucał czary. Wtedy zaś książę sztychem maga przebił. Tak... Szanowny Rejmus to wielce poważany rycerz, zaszczyt go u siebie gościć.

Wielce poważany rycerz, jakby wywołany tymi słowami, zmarszczył nagle brwi, wysunął głowę do przodu i ku radości współbiesiadników zawołał charakterystycznym, zduszonym głosem:

– Płatka, kosi synu! Gdzie się szwendasz, jak u mnie w dzbanie pusto?! Duchem, dawaj mi tu piwa!

Słowo „piwa” rozbrzmiało w jego ustach szczególną, uroczystą inkantacją, niczym modlitewna formuła w ustach kapłana. Gospodarz zerwał się z ławy i pobiegł, jakby chciał przejąć z rąk rycerza pusty dzban, nim ten trzaśnie skorupą o palenisko. Jeżeli w istocie szanowny miał taki zamiar, to szynkarz okazał się wystarczająco szybki.

Żegost spuścił wzrok na grubo ciosaną równiankę stołu, po czym umoczył usta w winie. Jeśli nie liczyć biesiadujących wojów, był w karczmie jedynym gościem. Niski strop izby podierały szerokie czworokątne słupy; gospodarz, tknięty potrzebą przyozdobienia w jakiś sposób swej domeny, nawieszał na tych słupach i po ścianach różności – tu starą sieć, tam jakieś rybackie narzędzia. Najwięcej było ususzonych ryb, zwłaszcza cudaczných, najeżonych kolcami kogutów morskich, które często wpadały do śledziowych włoków, a poza tą wątpliwą ozdobą nie nadawały się na nic innego.

Nie, prawdę mówiąc – Żegosta wcale nie było w tej pustawej mimo późnej pory gospodzie. To tylko jego cielesna powłoka siedziała za stołem, piła bez rozsmakowywania wino i słuchała, jak szynkarz opowiada o księżciu, jego zamorskiej małżonce i sławiących ich pieśniach. Dusza wciąż jeszcze stała na plaży, wśród przejętych zgrozą rybaków z Trychny, nad wyrzuconym przez fale, paskudnie okaleczonym, opuchłym ciałem. Żegost bywał jako zaciężnik i ochotnik w bitwach, zdarzało mu się też opatrywać ofiary niejednej bójki i nieudanego polowania, ale tak zadanych ran nie potrafił sobie przypomnieć. Bezskutecznie przymierzał

je do znanych sobie broni, do paszczek i pazurów stworzeń, z jakimi się w życiu stykał.

Ale stwory, na których się znał, żyły na lądzie. Co tkwić mogło w morzu, w jego głębinach, i tam dalej, za linią horyzontu – co mogło tam być, tego nie wiedział nie tylko on. Dlatego właśnie morze kusiło go i przyciągało z dziwną mocą. Stęsknił się przez ostatnie lata za nim i za tą nadmorską krainą. Bergh – kraj tak bliski rodzinnego Slengu i tak zupełnie od niego różny: długi pas skał, jezior i wąwozów wzdłuż wybrzeża, z półwyspem wyrastającym pośrodku jak bodąca bezmiar skalista ostroga, uwieńczona zbudowanym na wyniosłej skale księżęcym zamkiem.

Zboża, nawet trawa, ledwie tu chciały rosnąć; lasy były rzadkie, zwierzyny mało, a nieodległe mokradła i jeziora utrudniały dostęp w głąb kraju. Wielki handel idący z królestwa tutejszych portów nie potrzebował, miał inne, na zachodzie, u ujścia wielkich spławnych rzek. Obronne warownie, nawet stołeczny Ruerh, w porównaniu z estarońskimi zamkami wyglądały jak wpółzapadnięte kurniki, zaś rybackie wioski nie sprawiały wrażenia zamożnych, bo choć ryb i innych morskich stworzeń było tu pod dostatkiem, także i tych zdatnych na najbardziej wykwintne stoły, to większa część zysku z ich sprzedaży na południe należała do kupców. A tutejsze pospólstwo, rozmawiając między sobą, wciąż jeszcze używało dziwnej, niepodobnej do innych języków królestwa mowy. Pod jej wpływem nawet rycerze wykoślawiali słowa – sama nazwa krainy, Bergh, w ustach miejscowych brzmiała „Buerh”, a imię księcia wymawiano „Suemborh”. Dla mieszkańców

królestwa imię takie brzmiałoby śmiesznie, dlatego w pieśniach książę zwany był Zamborgiem. Tylko imię jego żony, Khielve, pozostawiono bez zmian. Dziwne imię księżniczki z północy, z jednego z owych królestw na skalistych, zimnych brzegach, więcej mających dochodu ze zbójstwa i wojen niż z uczciwego gospodarzenia. Nawet wytrawni dyplomaci w królewskiej służbie Askiburionu miewali kłopoty ze zorientowaniem się w ich nieustannych dynastycznych swarach i często zmienianych sojuszach.

Bardziej poczuł, niż dostrzegł, że Platka ponownie sadowi się na ławie obok. Nie, gospodarz nie miał racji, Żegost nie był smutny. Był wybity z nastroju, rozdrażniony, zły, sam nie wiedział na kogo – może na tego trupa, którego musiało wyrzucić akurat w dniu jego przybycia, na złą wróżbę. Albo na siebie samego. Zdarzają się każdemu takie dni, gdy nawet lany w gardło napitek nie smakuje jak powinien i nie sprowadza na człowieka pogodniejszych myśli.

– Bardzo to szanowany rycerz – podjął gospodarz. Żegost ciekawy był, z iloma gośćmi jednocześnie nauczył się szynkarz toczyć w taki sposób naprzemiennie pogawędki, odchodząc w pół zdania i bez trudu podejmując przerwany wątek po powrocie. – Jeszcze stary książę nieboszyk wyznaczał go do przewodzenia drużynie, a kiedy z Zamborgiem wracali ze Skanningen, książę kazał mu wieść triumfalny pochód od nabrzeża portu do zamku. A potem były gody, wielkie, huczne, na cały Bergh. Sam, młody chłopak, stałem z ojcem nieboszczykiem przy Kramarskiej Bramie, kiedy nowożeńcy przejeżdżali. Widziałem z tak bliska, jak was

teraz widzę. Książę pan cały promieniał od szczęścia, miał złotą zbroję, a na czole magiczny kamień.

– A ona? Naprawdę taka piękna?

– Ano, piękna. Piękna, panie Żegoście, jak... jak zorza polarna. Nigdyście piękniejszej nie widzieli i pewnie nie zobaczycie, bo księżna pani zamku nie lubi opuszczać. Włosy jak czyste srebro, usta jak żywa krew, a płęć biała niczym śnieg albo morska sól. Nie ma piękniejszej, to mogę powiedzieć. Pan Rejmus powiadał kiedyś, że pani Belisenna Złotowłosa piękniejsza, ale, z całym szacunkiem, nie słuchajcie tego.

– Belisenna?

– Żona dostojnego Everarda, królewskiego namiestnika z Kalboru. Widujemy ich często, bo namiestnik bywa nieraz w Ruerhu, bardzo piękna pani, ale zwykła kobieta, jeśli mnie rozumiecie, choć wysokiego rodu, a księżna pani całkiem co innego.

– No, a co było potem? – zapytał Żegost. – Gdy już wrócili jako nowożeńcy do Ruerhu i zamknęli za sobą bramę?

– Potem? Ano... Żyje się, panie Żegoście, ot, tyle.

Skrzypnęły drzwi izby; gospodarz poderwał się natychmiast i ruszył ku nowym gościom. Żegost przyglądał im się przez chwilę – wyglądali na prostych rybaków. Na dworze musi już zapadać zmrok, aż dziwne było, że mieszkańcy wioski nie zeszli się jeszcze na wieczorne rozmowy przy kuflu. A dziś będą mieli o czym rozmawiać, zajęci długo w noc sprawą zwróconego przez morze trupa. Nie dlatego, by śmierć w morzu, nawet okrutna, aż tak nimi wstrząsała – ale dlatego, że z tą śmiercią wiązała się jakaś mroczna tajemnica.

A tajemnica kusi człowieka, pociąga i nie daje mu spokoju bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Znowu popadł w zadumę, sącząc powoli wino i starając się nie słuchać porykiwań grubego rycerza. Ten ostatni obdarzony był głosem donośnym jak u buhaja i Żegost poczuł dojmującą ochotę, żeby dla uciszenia krzykacza złamać mu na karku zydel. Aż sam się zdziwił i zastanowił, skąd ten nagły przypływ złości, ta irytacja wypełniającym izbę wrzaskiem i rechotem. W końcu, tłumaczył sobie, wojacy byli w gospodzie. Przyszli się zabawić, a trup znaleziony tego dnia nie musiał obchodzić ich ani odrobinę więcej niż jakikolwiek inny trup w jakimkolwiek innym miejscu świata. Nie należał z pewnością do przyjaciela czy brata żadnego z nich – a jeśli do poddanego, to zapewne mieli poddanych dość, żeby się zanadto nie przejmować utratą akurat tego jednego.

Trzej nowo przybyli rozmawiali chwilę z gospodarzem, po czym ruszyli do kąta, gdzie siedział Żegost, po drodze skłoniwszy się nisko szanownemu Rejmusowi i jego towarzyszom.

– My tu do was, panie Żegoście. Pozwolicie?

– Siadajcie, dobrzy ludzie. Jeśli do mnie, to dobrze trafiłicie, bo to akurat właśnie ja.

Rybacy popatrzyli po sobie. Nie wyglądali na oniesmielonych kmiotków; byli poważni i zmartwieni.

– Ja będę mówił – rzekł do towarzyszy ten pośrodku i powstrzymałszy gestem szynkarza, by nie stawiał przed nimi kubków, zaczął.

– Do was, panie Żegoście, bo już wiemy, że jesteście cechowy żołnierz, wiemy, żeście dziś byli na plaży i że



mówiliście zostać tu na noc. Jestem Dejwas, starszy mąszoperii, to Gaca, a to Ludała.

Żegost skinął tylko głową.

– Tak i co dużo gadać, samiście widzieli, co to się u nas zdarzyło. I pewnie już wam mówiono, że nie pierwszy raz. Za pierwszym rozdarło babę z dwojgiem dzieciaków w chałupie na wydmach, mąż zamarudził na wiecu, a jak wrócił po świtanie, już było po wszystkim. Pewnie miał szczęście, bo i z niego by wiele nie zostało. A za drugim, tak jak i teraz, cała trójka z łodzi. Tylko tamtych nie znaleźliśmy. Jeno samą łódź wyrzuciło. Po innych to i łodzi nie było. No i ten teraz... A ślady identyczne jak na tamtej rodzinie.

– Takie same, jak wyszył, tylko trup od wody opuchł – wtrącił się Gaca. – Sam wtedy widziałem.

– Co tu gadać – podsumował Ludała. – Ten sam stwór, ot co.

Żegost zdecydowanie miał zły dzień i nie potrafił tego ukryć.

– Już się domyślam, dobrzy ludzie, o co wam chodzi. Jakiś bard z królestwa, oby oparszywał, wymyślił sobie cech najemnych wojowników, co zabijają potwory. Bardzo się o ich przygodach pięknie słucha i pewnie dlatego wszyscy w to uwierzyli. Ale takiego cechu nie ma, nigdy nie było i być by nie mogło. A ja jestem żołnierzem, nie charakternikiem. Płacą mi, żebym umiał w piechocie i jeździe sprawić szyki, dopatrzeć musztry, zaopatrzyć rotę, podzielić sprawiedliwie żołąd i łupy i żebym wiedział, co komu wypada czynić w bitwie. Ale nie tropię żadnych strzyg, nie odczyniam też czarów i nie znam się na przekleństwach. Poza tymi, które

żołnierze zwykli wypowiadać o maciach swoich przeciwników. Opowiadałem się już sekretarzom, chciecie, pytajcie ich. Wracam tędy po prostu. Byłem w zaciągu u orwańskiego palatyna, kwarta wyszła, zabrałem się i idę do Estaronu.

– Aleście tam na plaży mówili pono...

– Mówiłem, co wiem. Sługuję trochę czasu, to znam się na ranach, trochę też na zębach, pazurach, w ogóle na zwierzynie. Ale wiele więcej wam pomóc nie mogę.

– I powiadali o was, że jesteście człowiek w świecie bywały – dokończył Dejwas. – Nie przyszliśmy wcale nagabywać was do polowania na potwora, o nie. To księcia pana robotą, nie naszą. Myślałem tylko, pogadamy, kawał świata widzieliście, to może nam co poradzicie. Ale że to wam, jak widzę, nie w smak, nie będziemy przeszkadzać w samotności, panie Żegoście.

Jego rozmówcy wstali niemal jednocześnie. Podebrał się w ślad za nimi, zawstydzony nagle, i chwycił Dejwasa za rękaw.

– Wybaczcie – powiedział. – Długo byłem w piechocie, to i moje obejście staniało. Siądźcie i nie chowajcie do mnie żalu, proszę.

Dwaj rybacy patrzyli na Dejwasa, który zastanawiał się przez chwilę.

– Ano – rzekł wreszcie, siadając. – Płatka! Daj jakiego piwa.

– Widzicie – zaczął Dejwas, gdy usadowili się ponownie – do dziś sam mówiłem to, co i książęcy komes. Tu czy tam łódź nie wróciła, to i cóż, tak na morzu jest; sto razy przepłyniesz i nic, a raz nie przepłyniesz. Że częściej się tak ostatnio zdarzało, cóż, może prądy się

zmieniły, może jaki zwierz się załął w pieczarach na półwyspie...

– Tak wam komes prawił, powiadacie. Znaczy, chodziliście już do księcia na skargę.

– My nie. Z Cugiertu chodzili. Oni bliżej dworu i łowiska mają dane przy samym zamku.

– I stratne bardziej – wtrącił Ludała. – Trzy razy już się im zdarzyło swoich nie dorachować.

– Ten dzisiaj na plaży też był od nich – dodał Dejas. – To już wiemy, kowal przyjechał, mówi, że po zębach poznaje. Niejaki Sulwir, zwany Śmigielem. Może nie jakiś wielce doświadczony rybak, ale już nie żółto-dziób, który by mógł sam przewrócić łódź, wybierając wężerze.

Poznali po zębach, pomyślał Żegost. Nie bardzo było po czym innym poznać – trup wyglądał, jakby kto chwycił go upazurzoną dłonią u nasady włosów i zdarł z głowy twarz niczym maskę. Pozostały tylko czoło i żuchwa, pomiędzy nimi ziała dziura, w której roilo się robactwo.

– A choćby nawet, to nie wyglądałby tak, gdyby po prostu przewrócił łódź i się utopił – uciał Żegost.

– Ano, chyba nie.

– Z lewej się takiego tnie, baranie, z lewej! O, tak, finta, przerzut i trzask! – Kompania szanownego Rej-musa najwyraźniej znudziła się w końcu sprośnymi żartami nie wiadomo o kim.

– No dobrze – podjął Żegost. – Własną śmiercią ten wasz Śmigiel nie umarł, to jasne. Ani ta kobieta w chacie na wydmach, o której mówicie. A i zniknięcie tych kilku łodzi, które nie wróciły z morza, też pewnie miało

z tym coś wspólnego. Domyślam się, że czekacie, że bym wam powiedział, co to mogło być, jaki stwór, demon czy co tam jeszcze. Ale naprawdę nie wiem, co wam mogę powiedzieć, szanowny Dejwasie. Cokolwiek to jest, przyszło z morza. Na morzu znacie się lepiej ode mnie.

– Nie jesteśmy szanowni, tylko rybacy – sprostował Dejwas. – Na morzu się znamy, ale na wielkich sprawach nie. A wy, jak zgadujemy, pewnie idziecie na służbę do naszego księcia?

– Źle zgadujecie – pokręcił głową Żegost. – Nie idę. Starszy zastanawiał się chwilę.

– Wybaczcie ciekawość, ale żadna ryba nie popłynie tam, gdzie nie ma żeru. Dawno na naszym wybrzeżu nie widziano nikogo z waszego cechu. Jeśli już ma być wojna, dobrze by to było wiedzieć.

– Bądźcie spokojni, dobrzy ludzie. Wojna nigdy nie wybucha znienacka, umny człowiek może ją zawsze wypatrzeć jak burzę po chmurach. Pomyślcie – upił wina i perswadował, rozparłszy się wygodniej – kto szykuje wojnę, musi zebrać zapasy. Kupcy to wyczuwają od razu, więc ceny idą w górę. Musi wyszkolić tarczowników, więc po wsiach zaczyna brakować chłopów, praca się przeciąga, tego się też nie da ukryć. Zaciągi ogłasza się dopiero w ostatniej chwili, najdalej na miesiąc przed wyprawą, by nie trzymać gotowego wojska pod bronią, żywiąc i płacąc kwartę, tylko dla pustej pogroźki. Więc póki nie usłyszycie, że gdzieś na wyspach nagle brakuje solonego mięsa, a łąki stoją niekoszone, możecie spać spokojni. Choćby się w tej karczmie zeszło jeszcze siedmiu takich jak ja.